Nº 7.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 6 (18) Lutego 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

Od Wydawcy.

Czyniąc zadość licznym odezwom prenumeratorów kwartalnych **Opiekuna Domowego**, tak z Warszawy jako i z prowincyi, którzy zapewniają: że stale pismo nasze przez ciąg całego roku utrzymywać będą, oświadczamy: iż powieść **Żydówka**, należąca do *Czytelni Domowéj*, przez Michała *Bałuckiego* napisana, obecnie w druku zostająca, wszystkim prenumeratorom, którzy przedpłatę na kwartał II-gi zadeklarują, bezpłatnie w początkach najdaléj Kwietnia r. b. wydaną zostanie, w miejscach tych gdzie prenumeratę złożyli.

Ostrzegamy przytem nowo zapisujących się, aby ze składaniem przedpłaty pospieszyć się zechcieli, albowiem drukujące się dotąd egzemplarze **Opiekuna Domowego** obecnie już prawie wszystkie są na wyczerpaniu, a liczba egzemplarzy **Żydówki**, zastosowaną jest do ilości prenumerujących **Opiekuna Domowego**.



Mikołaj Kopernik. (Str. 50.)

STAROŚĆ.

(*Dokonczenie*).

Kobieta-bez wiary,—zjawisko rzadkie a przerażające. Z obojętném sercem dla Boga i ludzi, niewolnica omyłki, błądzi jak ślepa wśród cudów stworzenia. Dusza jéj przechodząc przez czyściec niewiary, obleka się ciemnością, niepokój marszczy jéj chłodne oblicze, zwątpienie i troski przyspieszają siwiznę. Gdy ją siły odstąpią staje się przesądną; drwi z Nieba i ziemi a w upiory wierzy; snów się lęka, Boga się nie boi. Na starość staje się coraz odrażliwszą ludziom i sobie.

I tego gatunku okazy prawie są niewidziane dziś u nas. W wieku przeszłym podobne wzory nierzadko się spotykały w Wersalu, pod *Blachą* i pod słomianną strzechą.

Tak być musiało, bo tak było; w historji niéma przypadków. Dziś jednak na to patrząc bez głębszego wejrzenia w przyczyny, dziwić się trzeba tym ludziom tak sprzecznie złych i dobrych przymiotów. Umiano wiele, oprócz—ortografji; budowano wszystko, oprócz — kościołów; wierzono we wszystkie widma, przywidzenia i czary, oprócz —Pana Boga.

U nas jednak, Bogu dzięki, ta chmura bokiem przeszła, zdrowy duch ogółu odżegnał jéj burzę; a dogorywające gdzieś niedobitki onych czasów, zejdą bezpotomnie.

Wyrozumowanych występków mało w młodości; dusz twardych i serc zakalistych niewiele w zaraniu życia. Wówczas krew

żywiéj krąży, serce drga silniéj, rumieniec występuje na twarz gwałtowniéj, oko jak iskra mieni się i barwi, uczucia prądem cisną się na zewnątrz, a dusza, pomnąc jeszcze swe anielstwo z przed świata, jasnością przeczucia broni się w tumanie życia opylinom ziemi. Lecz gdy to przeczucie zagłuszą warczące koła żywota, gdzieś tam we wnętrzu młodego serca zasiewa się ziarnko nieczyste, co z laty w kąkol, lub jadowite rozrasta się zielsko, a na starość wydaje trujące owoce, mdląc i krzywiąc wynaturzonych niemi ludzi. Czas zmiata ich na faszynę postępującéj ludzkości, a w nich samych ta mdłość i krzywizna uwydatnia się coraz bardziéj w starości niepokojonéj zgryzotą, przedręczonéj nudą, ubogiéj w szacunek ludzki i własny.

Człek stary, jest jakby emeryt-aktor, co już opuścił kulisy teatru świata. Jąką odegrał w nim rolę — białą lub czarną, taką mieć będzie nagrodę we wnętrzu swéj starości.

Nikt nie jest ofiarą ani fatalizmu, ani ślepego trafu: wszyscyśmy dzieci jednego Boga, on ojcem ludów, stuleciów i dziejów, a każda jednostka zdać musi rachunek ze swéj młodości, gdy czas opruszy głowę siwizną, a błędne ponęty życia odstąpią i gdy już idzie do grobu.

Pogodna starość jest w mocy człowieka, jako następstwo poczciwéj młodości: cnota użycza jéj swéj postaci, a co mieszkało na dnie duszy, w zawiązku wiosny życia, co ją skłaniało do pięknych czynów, to się odbija na sędziwém obliczu, to mu daje spokój, czerstwość myśli i to piękno wdzięków ducha, czego żadne aktorstwo, ni kosmetyki nie sprawią.

Dziś, gdy myśl ludzka leci piorunem telegrafów, pędzi parą żelaznych kolei, niedziwota że w tém falowaniu czasu z tylu drogimi skarby, tyle i mętów przewala się na brzegi. Wnętrze tego oceanu działalności ludzkiéj wre i kipi gorączką przedporodowéj chwili.

W takiéj dobie i nam kobietom trzeba coprędzéj porzucić bezmyślne czasobójstwo gotowalni i budoarów, a strojnym w trwały wdzięk nowéj myśli, w promień wyższéj miłości, iść z wiekiem na walną radę czasu z mandatem nowéj pracy i zasługi. Inaczéj, na nic się zdadzą fochy, dąsy i wrzaski; świat salononych wyroków nie posłucha, a wielbione tam nóżki w ciasnym buciku, gdy nie zdążą na ucztę nowego życia, odpadną po staremu w spowijaki.

W nowych bólach, trudach i cierpieniach, musi dojrzeć kobieta przyszłości, lecz od niéj saméj zawisło ulżyć tym bólom, trudom i cierpieniom, przyspieszając swą dojrzałość małą ofiarą dotychczasowych przywyknień.

Wiele się mówiło i mówi, pisało i pisze o oświeceniu kobiety, to jest:—o postawieniu jéj na téj drodze uzdolnienia, z któréjby rodzina i społeczność najmożebniejszą odniosła korzyć w postępowym ludzkości rozwoju.

To co od czasów historycznych do dziś dnia powiedziano, redukuje się do pytania: — czy kobieta ma się rządzić sercem, czy rozumem? Pytanie dotąd nierozwiązane, mimo bezliczebne za i przeciw dowody i repliki, mimo żywe świadectwa bytu rodzin, plemion i narodów. Są i *fuzjoniści*, co radzą wychowanie kobiety w imię harmonji uczucia i wiedzy urządzić. Lecz ogólniki niczego nie uczą, a gdy linja graniczna władz obu oznaczoną nie jest i być nie może, zostaje anarchiczna dowolność przenoszenia miedzy,—czy w otwartym boju pod chorągwią *emancypacji*, lub *niepodległéj moralności*, czy defraudowania onéj pod godłem pokory.

Rzecz tu jedna nieciemna, że na téj drodze harmonja znaleść się nie da, choć zasada harmonji jasną jest prawdą.

Każda kobieta jest poetą serca, wyjąwszy zbyt rzadkie potwory. Taką Bóg ją stworzył, taką więc i w tym kierunku kształcić należy. Chodzi tylko oto, aby ta poezja nie przeszła w bezbarwny *kwietyzm*, w rozmydlony łzami *sentymentalizm*; nie stała się furją krwi i nerwów, lub w najlepszym razie bezmyślną jemiołą, na rzuconym jéj losem pniaku. Rozumowe też przeciążenie w kobiecie, musiałoby rozwinąć się w mumiczność serca i chmarą przemężczyznionéj hordy najechać cywilizację.

Gdy więc poetą serca Bóg kobietę stworzył, idźmy za Jego wolą i wskazaniem, zachowując w czystości tę władzę ducha w kobiecie, jaką jéj Stwórca dał na wiano z przedświata. By tę czystość ducha od dziecka zachować, mówmy doń przedewszystkiém przez wrażenia, otoczywszy je czystością własnego gniazda, skupiając w niém to wszystko, coby w książce i w obrazie, w muzyce i w pieśni, w słowie i uczynku, miało pewien stosunek z treścią poezji naszego serca. Zawarujmy przytém, jak okna na zimę, każdą w niém szczelinę od wiatru pustyni, a sami w nie wchodząc otrząśnijmy się z pyłu.

Jak kształcimy czułość zmysłów dziewczyny na czystość ciała, ubioru, mieszkania i powietrza, tak kształćmy czułość jéj ducha na czystość moralną, by nigdy swém sercem nie zamieszkała w żadném brudném, lichém i ciemném; by wieszczém drgnieniem wstrętu swéj czystéj duszy, odgadła wilka w owczéj skórze, zdradne wnętrze trojańskiego konia.

Dla czego każda, choć nieco gładziéj wychowana kobieta, wszedłszy do brudnéj izby, czuje wstręt bezwiedny, radaby z niéj uciec co prędzéj i mimo znużenia nie zaśnie na noclegu w takiéj np. karczmie? A onaż sama daje swą rękę ochotnie, nawet serce, człowiekowi brudnéj duszy, pomimo przestróg jasnych, często pomimo dowodów jéj saméj widomych. Czyż takie dziewczę, choćby samego Apolina w zaniedbanym pozorze, nie porzuci dla pierwszego gładysza miałkiéj głowy, zbłoconego serca?

Niechby jéj duszę tak kształcono jak zmysły, poczułaby czystością serca moralną, nieczystość przybysza i mimowiedną odrazą, nie pytając nikogo o radę, umiałaby go odtrącić jedném spojrzeniem, rozróżnić złe od dobrego, jak powonieniem rozróżnia niewidome oczom powietrze; uciekłaby od niego jak z brudnéj izby i niechciałaby jego pamiątek, jak często bywa, zostawszy żoną, choćby świętego człowieka, pięknego ciałem, wielkiego duszą, kochającego ją jak się kocha urzeczywistniony ideał młodości.

Tak rozwiniętéj poezji serca, jakiż zwodziciel jest straszny? Jakiż pretendent małoduszny, wyfrakowane zwierzątko, lub taktyczny posagołowiec, zechce swe zaloty powtarzać?

Żadne rady i nauki, żadne naoczne przykłady, nawet własne przeświadczenie i bolesne doświadczenie, nie uchroni kobiety od rozbicia na wezbranych falach uczuciu, lub otrupienia serca, gdy ona podług Bożego prawa nie wykształci wrodzonéj mu poezji, bez któréj anioł stróż ulata, zostawując to ciemne serce na wiatrów igrzysko.

Natchnieniem poezji serca, odgadnie wykształcona kobieta graniczną linję właściwego sobie stanowiska niewiasty w domu i za domem, a wiedząc o wszystkich koronach salonowych, i katedralnych, żadnéj nie pozazdrości, tworząc sobie świat miłości i wiary w kole swych obowiązków rodzinnych i społecznych.

Zofja z Brzozówki.

FRAGMENT.

Życie gonitwą, walką, życie jest promykiem
Oderwanym od cierpień gorejącéj łuny;
Jest uśmiechem rozkoszy i boleści krzykiem,
Niebem, co daje wiosnę i w wiośnie pioruny.

Życie jest niwą; kwiaty barwne na niéj kwitną,
Lecz ich kielich ponętny gorycz i jad mieści;
Życie, jest to poemat o zwodniczéj treści,
Obszar chmury, niteczką przetkany błękitną.

A jeżeli los na niéj szczęścia gwiazdki niże,
Ich blaski dają gromów błyskawiczną jaśnię;
Strzeż się!... przy téj jasności ujrzysz cierpień krzyże—
Strzeż się!... prędko zatlona, jeszcze prędzéj gaśnie!

Stanisław Rzętkowski.

MIKOŁAJ KOPERNIK.

Bez względu na to co wytrwała praca, wyższą doniosłością obdarzonych umysłów, w ciągu wielu trwających usiłowań w dziedzinie naukowéj dokonała, myśl naszą otacza jakby mgła ciemna, ilekroć poznać pragniemy prawdziwe stanowisko, jakie mądrość Stwórcy dla nas i unoszącéj nas ziemi, w pośród tworów wszechświata, przeznaczyła. Ze wszystkich nauk, astronomija sama rozjaśnić nieco zdołała widnokrąg naszych w tym kierunku pojęć.

Nadzwyczaj długi przeszedł lat szereg, w którym człowiek upojony wyższością swoją nad wszystkie otaczające go twory, mnie-

mał, że nietylko to co wydaje powierzchnia ziemi i ukrywają jéj głębie, Opatrzność na jego wyłączną przeznaczyła własność, lecz nawet że unoszące się nad jego głową słońce, księżyc i gwiazdy, połączone aczkolwiek nieznanemi mu siłami, w ciągłéj jednak od sfery ziemskiéj zależności, w około niéj i dla niéj odbywają swe biegi. Przyszła jednakże chwila, w któréj złudzenie zmysłów ustąpić musiało przed wielkością prawd wspartych na gruntownych i niezachwianych niczem dowodach, wyprowadzonych z matematyki.

Dziś każdy z nas pojmuje z największą łatwością, że glob ziemski tak wielki i obszerny, pokryty nieskończoną rozmaitością dzieł przyrody i sztuki, jeden tylko księżyc w około siebie prowadzi i wspólnie z nim jakby lekka gałka zawieszona w nieskończonym przestworze eteru, obraca się i krąży około słońca, a z nią podobnemu ulega prawu mnóstwo brył, z których jedne przewyższają ją wielkością, inne znacznie są od niéj mniejsze; że te wreszcie świetne gwiazdy, na które wśród pogodnéj nocy z niewysłowioną rozkoszą wzrok nasz zwracamy, nie dla nas głównie błyszczą, bo każda z nich wielka i świetna jak nasze słońce, swém światłem i ciepłem prawdopodobnie obdziela mnóstwo brył ciemnych, do naszéj ziemi podobnych, na których rozwija się i utrzymuje nieznanych nam organizmów życie.

Prawdy te, w obecnym stanie nauki, tak silnie skojarzyły się z naszemi pojęciami, że zdaje się jakby same wypływały z natury, jakby samorodnie powstawały w naszym umyśle i nakształt silnego światła, jakby ćmiły swym blaskiem wszelką myśl do odmiennych prowadzącą mniemań; na nich wsparła się nieporównanéj piękności nauka nowoczesnéj astronomji i gromadzi coraz nowe, coraz świetniejsze odkrycia i prawdy, będące najwyższym tryumfem działań ludzkiego umysłu.

Z prawdziwą czcią i poważaniem wspominamy imię tego, który przy pomocy głębokiéj nauki, odkrywszy niezachwiane prawa układu świata słonecznego, podał je ludzkości i stanął tém samém na czele tych znakomitych mężów, których olbrzymia praca i zdolności doprowadziły matematykę i astronomją do téj wyżyny, na jakiéj dziś stanęła—był nim ziomek nasz, Mikołaj Kopernik—o którego życiu i pracach mówić zamierzamy.

Przy schyłku wieku XIV, prawem magdeburgskim zapewnione przywileje miastom, sprowadziły familją Koperników z Czech do Polski. Ojciec naszego astronoma, także Mikołaj, urodził się w Krakowie r. 1420. W r. 1462 przeniósł się do Torunia, gdzie r. 1464 pojął za żonę Barbarę, siostrę biskupa Warmijskiego Waisselroda, za którą wziął dom dotąd stojący przy ulicy S-éj Anny, a w nim ujrzał światło dzienne 19 Lutego 1473 r. astronom — Mikołaj Kopernik. *).

Początkowe nauki pobierał w Toruniu. Wrodzona wszakże chęć wzbogacenia umysłu wyższéj wiedzy skarbami, zawiodła go do akademji krakowskiéj, w któréj pozostawał do r. 1493. Tu ze szczególném zamiłowaniem oddawał się astronomji, wykładanéj przez Wojciecha Brudzewskiego, od którego powziął nowe myśli o budowie świata. W r. 1495 udał się Kopernik do uniwersytetu w Padwie, dla słuchania wykładu języka greckiego, medycyny i filozofji. Gruntowne poznanie pierwszego z tych przedmiotów, uważał za konieczne dla wniknienia w systemy starożytnych mędrców, w których poparciu swoich myśli szukać postanowił. Filozofji i medycyny uczył się od Mikołaja Passora i od Mikołaja Vernija, Teatyna. Ten ostatni w roku 1499 włożył na jego głowę wieniec doktorski tych dwojga umiejętności.

Z Padwy robił Kopernik wycieczki do Bononji, wabiony sławą ówczesnego astronoma Dominika Marja de Novarra. Obszerne wiadomości w matematyce, samodzielny i gruntowny pogląd na najtrudniejsze zadania astronomji, który w owym czasie zaczął rozwijać, wzbudziły w Novarze uznanie jego zdolności i sprawiły że tenże nie wahał się przedstawić Kopernika jako kandydata do opróżnionéj katedry astronomji w Rzymie, którą pozyskał około r. 1499. Niedługo wszakże to miejsce zajmował. Smutne wypadki rządów Aleksandra VI, spowodowały wyjazd jego z Rzymu i powrót do Polski.

W Krakowie obrał sobie stan duchowny i tu między rokiem 1502 i 1509 napisał nieśmiertelne swe dzieło: *De revolutionibus orbium coelestium.* (O obrotach ciał niebieskich). Dzieło podobnéj treści, w naszych czasach, jako otwierające nową drogę dla postępu nauki, doznałoby najżyczliwszego przyjęcia, a zamknięte w niém nowe zasady, rozebrane i sprawdzone na drodze obserwacji i ścisłego rozumowania, zyskawszy uznanie prawd niczem zachwiać się nie dających, przechodząc z wysokich sfer naukowych do wiadomości ogółu, w krótkim czasu przeciągu okryłoby jego twórcę zasłużoną chwałą; inaczéj wszakże działo się w owych czasach, nacechowanych piętnem przesądów i fanatyzmu. Wtedy chęć podania światu nowych prawideł, niezgodnych z panującemi pojęciami, prowadziła za sobą prześladowanie, więzienie a często śmierć męczeńską. Kopernik znał ducha swego czasu, dla tego nietylko nie spieszył się z wydaniem swojego dzieła na widok publiczny, lecz owszem przeciwnie, ukrywał je starannie, pojmując, że dopiero po jego śmierci świat będzie mógł poznać prawdy przez niego wykryte. Okoliczności wszakże, jak się o tém zaraz przekonamy, zrządziły, iż jeszcze za jego życia dzieło to opuściło prasę. (d. n.)

*) W Nr. 4 i następnych Opiekuna Domowego z 1865 r., zamieszczone już było wspomnienie o życiu i pismach Mikołaja Kopernika, przez Józefa z Mazowsza, z wyobrażeniem rysunków wszystkich pomników jakie mu postawiono. Obecnie ze względu przypadającéj w Lutym r. 1873 czterechsetletniéj rocznicy urodzin znakomitego naszego rodaka, uważaliśmy za rzecz konieczną dać bardziéj szczegółowy jego życiorys, przyozdabiając takowy drzeworytem portretu, będącego kopją obrazu dawniejszéj epoki. (Przyp. Redakcyi).

CIEMNE STRONY LONDYNU,

POLICYA I RZEZIMIESZKI.

Przed opuszczeniem Londynu, tego olbrzyma miast Europejskich *), gdzie obok milionowych panów i bogaczów, bajecznym lśniących przepychem i zbytkami, gnieżdżą się tysiące ludzi żyjących z dnia na dzień, nie wiedzących czém jutro, co mówię, czém dziś jeszcze głód swój zaspokoją,—przyjaciel mój, którego opowiadanie czytelnikom naszym powtórzyć zamierzam, postanowił przypatrzyć się nieco bliżéj i ciemnéj stronie tego złoconego medalu, o którym turyści tyle zdumiewających prawią nam rzeczy. Otóż w tym celu przyjaciel mój, w towarzystwie znanego sobie młodego Niemca i za pośrednictwem jednego z kupców londyńskich, zamówił sobie dwóch ajentów policji tajnéj, przeznaczonéj wyłącznie do wykrywania i chwytania nie politycznych, ale zwyczajnych wszelkiego rodzaju przestępców — i pod opieką tych ajentów puścił się na nocną wycieczkę, w tak zwane cyrkuły ubogich, gdzie ostatnia nędza w najbrudniejsze okryta łachmany, którymi we dnie świecić nie ma odwagi,—gdzie występek i zbrodnia we dnie czujnego sprawiedliwości unikające oka, w nocy dopiero na jaw wychodzą i rozpoczynają prawdziwe swoje życie, pełne najohydniejszych orgij, bezkarnéj swawoli i niczem prawie nieukróconego szału. Oto co on opowiada:

Stosownie do zawartéj umowy, przyjechał po nas o godzinie siódméj jeden z naszych policyjnych przewodników, człowiek budowy silnéj, rysów poważnych i ubrany niemal wykwintnie, którego zachowanie się zjednało mu odrazu zupełne nasze zaufanie. W chwilę potem siedzieliśmy w omnibusie, udając się środkiem bogatego miasta do wschodniéj jego części ku Whitechapel. Stanąwszy na miejscu, wysiedliśmy z powozu wśród wijącego się na wszystkie strony tłumu, zupełnie innego charakteru jak reszta mieszkańców miasta. Uderzająca tu jest różnica pomiędzy jedną a drugą ludnością. Tam, każdy niemal mieszkaniec nosi na twarzy, w ruchach, w ubiorze, cechę spokojnego, porządnego, zamożnego obywatela, tu... każda, bez żadnego niemal wyjątku, postać wybladła, drobna, chuda, okryta jak najnędzniejszém ubraniem.

— To inny jakiś lud?—zawołałem zdziwiony do przewodnika.

— To są Irlandczycy,—odpowiedział tenże.

Idąc już teraz piechotą, od pierwszego zaraz kroku otoczył nas rój mężczyzn i chłopaków bardzo podejrzanych obyczajów, tudzież kobiet bezwstydnie i zuchwale nas zaczepiających. Ale przewodnik nasz, uważny i przytomny zawsze, karcił ostremi słowy zbyt blizko nacierających i tym tylko sposobem zasłaniał nas od zbytniego ich natręctwa. Uliczki, któremiśmy postępowali, zastawione były z obu stron drewnianemi budami z żywnością, w którą się uboga ludność miejscowa, z lichego dziennego zarobku, wieczorem dopiero

*) Londyn, stolica Anglii, stolica handlu, przemysłu i fabryk, leży po obu brzegach Tamizy, 13 mil od jéj ujścia do Morza Północnego. Jest to miasto największe na całym świecie, obejmujące 12 mil angielskich długości, a 9 do 10 mil szerokości. Mieszkańców jest w niém przeszło 3 miliony. Londyn leży na terytorium czterech hrabstw angielskich; obok zaś tego Stare Miasto *(City)* stanowi w nim oddzielne hrabstwo. Dotąd pochłonął już w sobie przeszło 100 sąsiednich miast i miasteczek.

na nocne swoje biesiady zaopatruje. Z licznych znajdujących się tutaj szynkowni, przepełnionych wewnątrz a oblężonych zewnątrz przez tłumy obdartych i po większéj części pijanych starych kobiet i mężczyzn, dochodziła uszu naszych dzika jakaś, trudna do opisania wrzawa, przeplatana śmiechem, klątwami, śpiewem, kłótnią, słowem wszystkiém, czém rozpasane namiętności przemawiać zwykły.

Na skręcie jednéj z ulic, weszliśmy do jakiéjś szynkowni, gdzie miał się z nami spotkać drugi nasz towarzysz policyjny. Zakład do któregośmy teraz przybyli, należał do najniższego rzędu tego rodzaju domów publicznych. Czekając na zamówionego przewodnika, kazaliśmy sobie podać po szklaneczce brandy (zwyczajna wódka angielska). Ja nie skosztowałem nawet tego trunku, lecz ofiarowałem go jakiéjś ubogiéj kobiecie, siedzącéj przy mnie na ławeczce, która go chciwie i bez ceremonji za moje zdrowie wychyliła. Ile się ludzi w ciągu krótkiéj naszéj bytności w téj szynkowni przed naszemi oczyma przewinęło, trudno wypowiedzieć; ale po większéj części były to młode, obdarte kobiety, których zachowanie się świadczyło wyraźnie o ich życiu, chociaż one na nas, zdaje się dla tego tylko, żeśmy inaczéj jak zwykli tameczni goście wyglądali, żadnéj nie zwracały u w a g i. Wkrótce potem nadszedł oczekiwany nasz p r z e w o d n i k, mężczyzna wzrostu więcéj niż średniego, tęgi, barczysty, rysów przyjemnych, ujmująco grzeczny, ubrany w długi, czarny surdut, niby o s o b a duchowna. Pod osłoną i opieką takich dwóch ludzi, którzy nam radzili tuż przed nimi postępować, by nas zawsze na oku mieli i by mogli czuwać nad naszemi osobami i kieszeniami, ruszyliśmy w dalszą drogę. Zdaje mi się, że obaj musieli tu być z n a n i, gdyż prócz kilku kobiet, które do nas uprzejmie przemawiały, nikt nas nie zaczepiał.

Po obu stronach White-chapel Road, ku Tamizie i południowéj stronie Londynu, leży m n i é j więcéj po dwieście u l i c z e k, literalnie zapchanych w każdym kąciku przez najuboższą ludność irlandzką i żydowską, gdzie brud, nędza i zepsucie, w całéj swojéj występują nagości. Są to po większéj części gniazda złodziei i rzezimieszków, nory niezmiernie skąpo oświetlone, przed któremi wiecznie leżą stosy śmieci, bo tutaj bowiem, wszelkie nieczystości bywają wprost z okien na ulicę wyrzucane. By nam dać pojęcie o tutejszych mieszkaniach i mieszkańcach, przewodnicy wprowadzili nas na trzy, czy cztery małe, ze wszystkich stron zamknięte i ciemne podwórka, gdzie przez okna parterowe mogliśmy się dowolnie przypatrzeć wnętrzu tych jaskiń. Jakiż straszny widok! To nie izby, ale nędzne komórki, w których znajdowało się po kilka kobiet zatrudnionych gospodarstwem domowém i potrosze najlichszych, zużytych lub połamanych sprzętów do codziennego użytku niezbędnych. Możeż to być, ażeby ludzie tutaj mieszkali? Słusznie pewien lekarz angielski powiedział o zaułkach w White-chapel i Bothnal-Green, że one są nieustającą kliniką febry. I dziwić się temu nie można, gdyż statystyka wykazuje, że średnia długość życia tutejszych mieszkańców, tylko lat *szesnastu* dochodzi! Brak słońca, brak powietrza, nieustająca nędza, od dziecinnego już wieku poczynające się wszelkiego rodzaju zepsucie i nadużycie sił fizycznych i zdrowia, są tego konieczną przyczyną.

Wkrótce potem, wprowadzono nas do jednego z tak zwanych *Lodging-house* (płatny dom przytułku). Taka gospoda składa się zawsze z trzech części: z obszernéj izby, gdzie goście przed udaniem się na spoczynek zajmują się czytaniem, fajką lub cygarem, gawędką, a czasem i pracą; — z kuchni, gdzie sami goście zarobione lub skradzione w mieście pożywienie, zwykli sobie przyrządzać i nareszcie z sypialni. Gospodyni tego zakładu, stara, odrażającéj postaci niewiasta, wprowadziła nas najprzód do izby parterowéj, pełnéj samych starych kobiet, które wyłącznie sobą zajęte, a niechętne przybyszom, ani jedném przychylném spojrzeniem zaszczycić nas nie raczyły. Ztąd udaliśmy się do izby gościnnéj mężczyzn. (w niektórych porządniejszych domach, są oddzielne dla kobiet). Tu znaleźliśmy rozmaitych typów ludzi, po kilku przy oddzielnych stołach siedzących i rozprawiających między sobą o swoich sprawach osobistych. I ci żadnéj nie zdawali się zwracać na nas uwagi. Nareszcie, przez jakieś wątłe i trzeszczące schody, na których o mało karku nie skręciłem, weszliśmy do sypialni, składającéj się z kilku izb ciemnych, zimnych i nagich, zastawionych pojedynczemi i podwójnemi łóżkami, z których w ogóle ostatnich b y ł o dwadzieścia pięć, pierwszych zaś pięćdziesiąt. Pościel tych łóżek składała się z czegoś brudnego, szarego, niemal czarnego; jeżeli się nie mylę, było to najgrubsze jakie być może płótno żaglowe. Tego rodzaju domy są rzeczywistą klęską publiczną stolicy W i e l k i é j Brytanji, albowiem w nich gromadzi się wszelkie, tak fizyczne, jako i moralne skażenie. Robactwo i choroby zaraźliwe przybywają tu ze wszystkich s t r o n; powietrze duszące, zabijające, p a n u j e ustawicznie w tych ciemnych norach, do których zbyt wiele i zbyt rozmaitych ścieka ludzi; młodzi i starzy, chorzy i zdrowi, przyjaciele, znajomi i nieznajomi, pchają się nieraz do jednego łóżka, do jednéj izby, która nigdy przewietrzaną nie bywa, bo jak pewien ze zwiedzających lekarzy bardzo trafnie się wyraził: „okna nie służą tutaj do wprowadzenia świeżego powietrza, ale tylko do zasłonienia sypialni od nadzwyczajnego zimna."

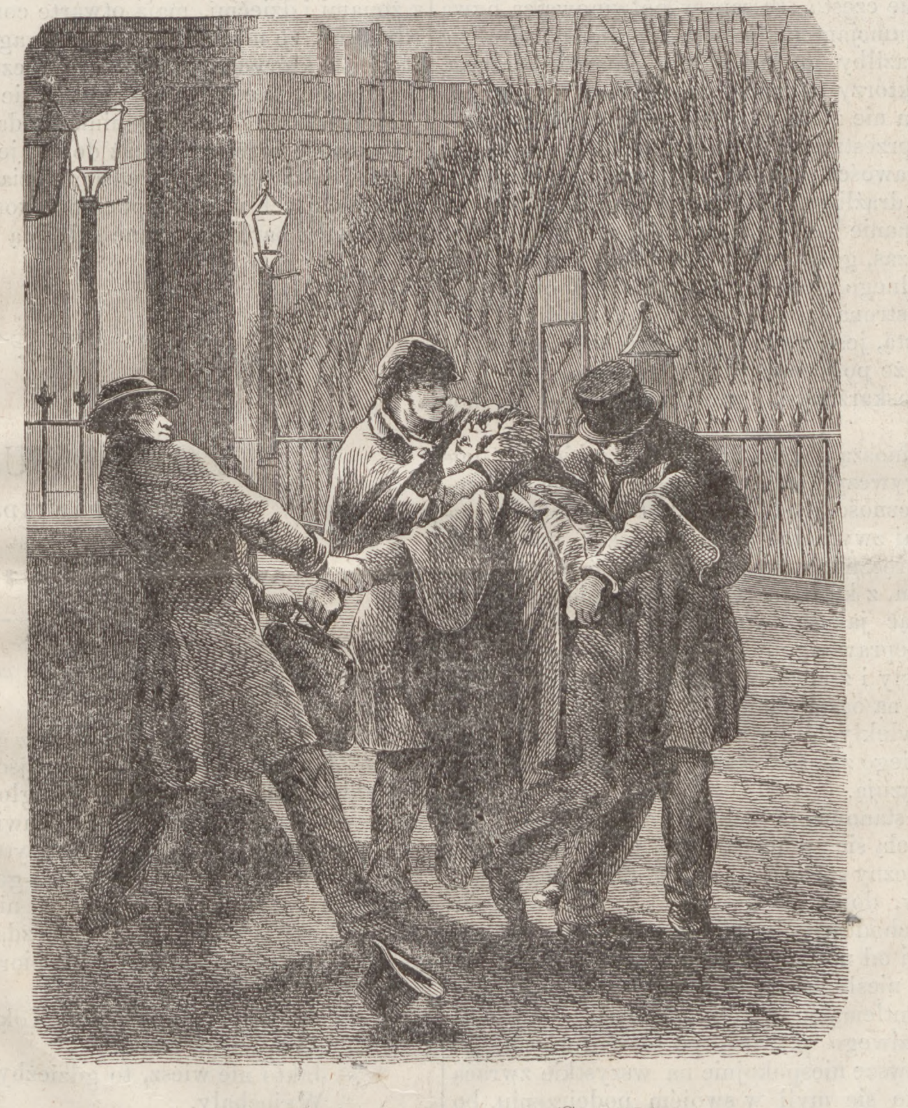


Londyńscy złodzieje. (Str. 53.)

Dzieci bez rodziców, bez przytułku, są tutaj stałymi prawie gośćmi, a dzieci te żyją po większéj części z żebraniny, kradzieży lub równie ohydnego rzemiosła. W takich najnędzniejszych nawet przytułkach, biedne sieroty płacą za nocleg jeden penny, a jeżeli i tego nie mają, gospodarz lub gospodyni, wyprawiają je na świat boży bez żadnéj litości, z zaleceniem, by sobie opłatę za nocleg wyżebrały lub ukradły. Możeż więc takie biedne, zbłąkane dziecko zostać czém inném, jak przemysłowym żebrakiem, rzezimieszkiem, złodziejem, a z czasem szubienicznym zbrodniarzem, jeżeli mu społeczność opiekuńczéj nie poda ręki? I to się dzieje w An-

glji, — w stolicy Anglji, gdzie niewiasta — królowa tak po macierzyńsku cnót domowych przestrzega, gdzie rząd czujny na najdrobniejsze stałego lądu wypadki, nie widzi co się w jego własném gnieździe dzieje? nie widzi tego raka, toczącego wnętrzności własnego kraju?

Ztąd udaliśmy się jeszcze do jednego z najbardziéj okrzyczanych i najniebezpieczniejszych szynków, ostrzeżeni pierwéj przez naszych przewodników, ażebyśmy się żadnéj z najwięcéj nawet uderzających postaci zbyt ciekawie nie przypatrywali i ażebyśmy się, na pierwsze ich skinienie, natychmiast wynosili, ponieważ, gdyby poznano w naszych towarzyszach urzędników policyjnych, zbitoby nas, obdarto i na ulicę wyrzucono. Stanąwszy przed domem, musieliśmy się przedzierać przez tłum ludzi zgromadzonych na około drzwi wchodowych, gdzie swawolna jakaś dziewczyna tuż obok nas postępująca, wyzywająco kłębami dymu cygarowego w twarz i oczy moje buchała. Gdyśmy nareszcie drzwi otworzyli, otoczyła nas duszna, gorąca para, przez którą, jakby przez gęstą mgłę, ujrzeliśmy wielką, czarną izbę szynkową, nabitą ludźmi, jakich dotąd nie widzieliśmy nigdzie. Były to postacie tak odrażające, tak ohydne, że niemal każdą bez namysłu i sądu wprost na szubienicę zaprowadzićby można. Odrażające rysy mężczyzn i kobiet były zaognione nadmiarem brandy i dżynu, oraz rozpasaną wesołością, jaka tu przy brzęku lichéj muzyki panowała. Kilkunastu ludzi pijanych leżało już pod stołami i ławkami, a reszta przeraźliwym, ochrzypłym głosem bądź wtórowała fałszywéj muzyce, bądź też własne, zupełnie od niéj odrębne zawodziła śpiewki. Szynkarka miejscowa, kobieta około lat pięćdziesięciu, rysów napiętnowanych wszystkimi śladami rozpusty i zdrożności, to kłócąc się ze swymi znajomymi, to drwinkując z nimi, spostrzegła nas wkrótce i kilku grubymi dowcipami, które nasi ajenci zwycięzko odpierali, zaczęła nas wabić do tak zwanego bufetu. Zwróciło to uwagę innych gości, którzy ciekawie i z nieufnością oglądać nas zaczęli. Złowrogie ich spojrzenia nie podobały się nam wcale, przytuliliśmy się więc do ściany przy drzwiach i tu kazaliśmy sobie znowu podać po kieliszku brandy. Goście zmieniali się ustawicznie, ale pomiędzy nimi nie widzieliśmy ani jednego mężczyzny, ani jednéj kobiety, mogących jakiekolwiek obudzać zaufanie.



Londyńscy złodzieje. (Str. 53.)

Widok téj jednéj, z podobnego rodzaju niezliczonych jaskiń zepsucia, wystarczył nam zupełnie. I mimo obietnic naszych przewodników pokazania nam ciekawszych jeszcze zakątków londyńskiego zepsucia, wyrzekliśmy się dalszego ich zwiedzania.

Jedno takie gniazdo wylewa codziennie szerokiém korytem na miasto Londyn, całą chmarę istot żyjących tutaj bezwstydną rozpustą, a na ulicach strasznym przemysłem nierządu, oszustwa, kradzieży i zbrodni.

A takich gniazd są tutaj setki, takich istot—tysiące. Powtarzamy tysiące, które niemal od urodzenia swego nie żyły i nie żyją gdzieindziéj jak w tego rodzaju otchłaniach, albo w więzieniu. Dla nich rodzina, domowe ognisko, własny choćby najskromniejszy kącik, to rzeczy niezwyczajne, zbytkowe, o które starać się nie warto; dla nich najnędniejszy zakład publiczny, a w nim poniżająca człowieka swawola i rozpusta, są głównym celem życia, środkami zaś, podstęp, oszustwo, kradzież, rozbój.—Człowiek, któregośmy dopiero co widzieli pod wpływem dżynu i brandy wyśpiewującego sprośne piosnki, albo naradzającego się w kącie ciemnéj szynkowni z godnym siebie towarzyszem, nad sposobami zdobycia sobie wieczerzy, znajdzie się za chwilę na ulicy, niby dla zachwycenia świeżego powietrza, niby dla otrzeźwienia się z wściekłego szału, i... zaczaiwszy się najczęściéj ze swoim doświadczonym wspólnikiem gdziekolwiek za wystającym murem, wyczekuje cierpliwie na łup, jaki mu pierwszy lepszy przypadek nadarzy. On nie jest wcale w żądaniach swoich wybredny. Idzie mu tylko o zaspokojenie dzisiejszych potrzeb. Zerwane okrycie, wydarty zegarek, zdobyty pugilares lub sakiewka, wystarczają mu zupełnie; jeżeli zaś zdobędzie coś więcéj, tém korzystniejszy dla niego połów. Ale biada temu, który nie czując się na siłach osobistych poważy się mu stawić jakikolwiek opór. Łupieżnik staje się wtedy *garroterem* czyli dławicielem, mordercą. Niespodzianie pochwycona ofiara, w jedném mgnieniu oka, z dziwną zręcznością palcami tylko ujęta za gardło, pada bezwładnie i zostaje pastwą rozbójników, którzy ją wtedy już bezkarnie ze wszystkiego obdzierają. Odbywa się to tak spokojnie, tak cicho, że o kilkadziesiąt kroków stojący lub przechodzący strażnik policyjny, nic o tém może nie wiedzieć, chociaż dzisiejsza policja londyńska jest niezmiernie czujna i sumienna w pełnieniu swoich obowiązków.

Niejeden cudzoziemiec zwiedziwszy nawet kilkakrotnie stolicę Anglii, mógłby śmiało powiedzieć, że nigdy ani jednego konstabla czyli policemana nie widział. Rzecz to bardzo naturalna, gdyż ci stróże bezpieczeństwa publicznego, nie noszą tu ani mundurów, ani broni, jak w innych stolicach europejskich.

Do r. 1828, to jest, do epoki, w któréj Robert Peel, za przyzwoleniem parlamentu, policją na sposób dzisiejszy urządził, istnieli tu tylko stróże nocni, opatrzeni w latarnie i ciężkie, brzękające po bruku kostury, którzy wyśpiewując głośno każdą godzinę, wybornie służyli złodziejom jako sygnały ostrzegające ich o bezpieczeństwie lub niebezpieczeństwie przedsiębranych przez nich operacyj nocnych. Obecnie ten stan rzeczy zmienił się zupełnie. Policja Londynu składa się: z naczelnika (Chief-Commissioner), dwóch niższych dowódców, 18 nadzorców, 625 sierżantów i 4,954 konstablów, czuwających bezustannie nad bezpieczeństwem przeszło 400,000 domów miasta, tudzież nad postępowaniem 8,000 złodziejów z profesyi i blizko 50,000 ludzi podejrzanych. Obowiązki służbowe każdego policjanta trwają tylko ośm godzin na dobę, dla czego jako nieprzeciążeni pracą, w razie potrzeby wszyscy jak najchętniéj spieszą ze swoją pomocą, tak, że po spełnieniu jakiego ważniejszego przestępstwa lub zbrodni, w ciągu dwóch godzin wszystkie straże Londynu są już w najpełniejszym ruchu. Na konstablów przyjmowani są tylko ludzie zdrowi, silnie zbudowani, umiejący czytać i pisać. Wyuczeni w ciągu kilku tygodni mustry wojskowéj, przechodzą na praktykę do sądów poprawczych, gdzie pobierają specjalną naukę, jak dobry policjant zachowywać się powinien zostawszy powołanym na świadka, w jaki sposób ma jasno i zwięźle pisać obowiązkowe raporty i t. p. Wytresowany należycie, teraz dopiero otrzymuje on godła swego urzędu: pałeczkę, opatrzoną ołowianemi gałkami i grzechotkę, z których pierwszéj tylko dla osobistéj obrony, drugiéj zaś w razie nieu-

niknionéj potrzeby, dla dania sygnału, używać mu wolno. Oprócz téj, jawnie czynnéj służby policyjnéj londyńskiéj, istnieje jeszcze inna, tak zwana zamaskowana, właściwie odkrywcza (detective), składająca się ze 108 osób, które pod rozmaitém przebraniem, wciskają się zręcznie we wszystkie tajniki życia publicznego. Nie ma warstwy społeczeństwa angielskiego którejby oni zwyczajów nie znali, do którejby się zastosować nie umieli. Wszędzie są jak u siebie, a nikt o nich nie wie. Na meetingach rolniczych zjawiają się pod łudzącém przebraniem młodych dzierżawców; na świątecznych zebraniach klass robotniczych wyglądają jak najpracowitsi rzemieślnicy; na przechadzkach wielkiego świata, przysiągłbyś że to najmodniejsi gentlemany. Rozumie się samo z siebie, że od takich ludzi wymagany jest odrębny talent i wyższe zdolności, które znowu dają im pewne przywileje nad zwyczajnymi konstablami. I tak np. policjant zamaskowany, nie staje nigdy przed sądem, gdyż odkryty przed publicznością, stałby się bezużyteczném narzędziem w ręku sprawiedliwości angielskiéj, a w potrzebie, miejsce jego na ławie świadków, zajmują prości konstablowie, którzy oskarżenia swoje zawsze jedną sakramentalną wygłaszają formułą: „według otrzymanego doniesienia.” — Zdarza się często, że sam współwinowajca bywa przez zawiść lub zemstę denuncjantem, jednakże policjant zdradzić go nie może, bo inaczéj naraziłby go na ciężką odpowiedzialność w obec jego towarzyszów, który takiego przeniewierstwa przebaczać nie zwykli; cech bowiem nie złodziei przypadkowych lecz złodziei z rzemiosła, surowo przestrzega pomiędzy swoimi członkami tak zwanéj u nich wiary i prawości. Dla tego też, położenie angielskiéj policji jest niezmiernie drażliwe. W innych krajach, policjant za obwinienie lub przytrzymanie osoby niewinnéj, może zaledwie otrzymać naganę; w Anglji zaś, gdzie sędzia woli uwolnić dziesięciu winnych, niż skrzywdzić jednego niewinnego, policja w obec sądu uważaną jest po prostu jako strona sporna, dla któréj Anglik, dbały zawsze o swą wolność osobistą, jest z góry już nieprzychylnie usposobionym; a jeśli się zdarzy, że policeman przekroczy swoję władzę, to w takim razie on zostaje oskarżonym i wtedy spodziewać się może najsurowszego sądu.

Podobne trudności podnoszą bardzo dowcip i przebiegłość policmanów, a zmysł ich odkryweczy takiéj nabiera bystrości, że częstokroć najdrobniejsza okoliczność dostateczną jest dla nich do wytropienia przestępców. Tutaj zwyczajne plotki miejskie, gadulstwo sług domowych, z któremi zręcznie umieją zawiązywać stosunki, są dla nich bogatym materjałem, z którego wysnuwać umieją najgłębiéj ukryte tajemnice. Mając jakąśkolwiek podstawę, jakikolwiek dla innych może zupełnie nieprawdopodobny wątek, budują oni na nim swoje podejrzliwe domysły i z niezmordowaną cierpliwością tygodnie, miesiące całe, trawią na osiągnienie celu swoich dochodzeń. Ani czas, ani odległość przewlekłych i dalekich wymagająca podróży, niezdolne są odwieść takiego zamaskowanego policjanta z drogi, jaką mu obowiązki jego wskazują.

Złodzieje kieszonkowi stanowią najliczniejszą klasę przestępców w Londynie; ale i ci dzielą się pomiędzy sobą na rozmaite rzemiosła. Arystokratą jest zręczny spekulant, który przez kilka miesięcy uwija się około banków, dopóki bogatym jakim obłowem nie wynagrodzi sobie swoich zachodów i cierpliwości; wyciągający zaś z kieszeni tabakierki i chustki od nosa, to nędzarz, proletarjusz. Jednakże jeden i drugi bywają niesłychanie zręczni. Pierwszy wygląda na najporządniejszego gentlemana, a przecież bystre oko policjanta poznaje w nim prawdziwego ptaszka, po niczem więcéj, jak po samym wzroku, który zawsze niespokojnie na wszystkie zwraca się strony. I policjant rzadko się myli w swojém podejrzeniu, bo on wie, że niewłaściwe zaczepienie prawdziwego gentlemana, pociąga za sobą bardzo nieprzyjemne dlań skutki.

Wyścigi konne, tudzież inne podobne zebrania publiczne, są najkorzystniejszém polem dla złodziejów kieszonkowych. Przedewszystkiem jeden z nich przekonywa się o stanie kieszeni wybranéj ofiary. Zbadawszy, że te nie są puste, kilku wspólników obstępuje ją do koła. Świadomy niebezpieczeństw gentleman, mający niekiedy znaczną summę przy sobie na zakłady, trzyma ostrożnie rękę na kieszeni, ale to go nie uratuje, gdyż w chwili zbliżania się koni do mety, tłum pcha się naprzód, a najbliższy sąsiad wciska mu niechcący niby kapelusz na oczy. Ten, naturalnie podnosi ręce do głowy i jednocześnie kieszenie jego zostają wypróżnione, a złoczyńcy uchodzą bezkarnie.

Rzezimieszki są prócz tego wielkimi fizjognomistami i trafnym rzutem oka, po ubraniu, ruchach, chodzie, umieją poznać korzystną dla siebie zwierzynę, którą upatrzywszy, dopóty ścigają niezmordowanie, dopóki przy zbiegowisku ulicznem, przy scenie bokserów, przed sklepem jakim, w omnibusie, lub gdziekolwiek indziéj, nie znajdą sposobności oporządzenia jéj należycie.

Pomysły złodziei londyńskich bywają czasami bardzo dowcipne. Jednym np. z takich, jest zręczne wkradanie się w serca kucharek i pokojówek. W umówionéj godzinie, zwłaszcza kiedy państwa nie ma w domu, spekulant wyprowadza kucharkę na ulicę, zamyka jéj drzwi bardzo starannie i klucz chowa do kieszeni; lecz w drodze podaje go nieznacznie swemu wspólnikowi, który okradłszy mieszkanię, odnosi go, jakby nigdy nic, kochankowi. Sługa wróciwszy, znajduje wprawdzie zamek nietknięty, ale mieszkanie zrabowane. — Szczególniéj oni zręczni są w dobieraniu się do zamków, a jednym z ich najnowszych wynalazków, jest narzędzie, którém chwyta się koniec klucza tkwiącego w zamku i odkręca rygiel cicho i najspokojniéj w świecie.

W rzemiośle złodziei i rzezimieszków, są jak wszędzie, partacze, talenta mierne i geniusze. Do pierwszych należą zwykle ludzie bez konduity, po większéj części pijacy, o jakich na początku była mowa. Są to złodzieje nie tyle z rzemiosła, ile raczéj z chwilowéj potrzeby, chociaż ci bywają czasami jeszcze niebezpieczniejszymi od innych. Złodzieje zaś wyższéj sfery, stanowią zupełnie odrębną kastę; mieszkają oni częstokroć wykwintnie, prowadzą życie porządne z żonami i dziećmi, mają otwarte conto u bankiera, spijają wyborne wina, tak, że niktby nie miał odwagi podejrzywać ich o nieczystość źródeł, z których dochody swoje czerpią. Tacy przecież nigdy się nie upijają, wiedząc dobrze na jakie mogłoby ich to narazić niebezpieczeństwo. Pomiędzy nimi zgoda panuje zawsze jak największa, solidarność rozciąga się aż do wzajemnéj pomocy, bądź w ważniejszych i korzystnych przedsięwzięciach, bądź w ratowaniu towarzyszy popadłych w ręce sprawiedliwości; tak dalece, że na podobne cele nieraz bardzo znaczne składają pomiędzy sobą kapitały.

Oskar Stanisławski.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Lęk mnie zdjął srogi, serce z niepokoju bić prawie przestało. Co za dziwny wypadek mógł zajść w dworku pana marszałka?... Nie widząc innéj rady, zacząłem głośno wołać i stukać z całéj siły do drzwi—aż dopiero po dobréj chwili pokazał się stróż ze stajni.

— Gdzie pan marszałek?—pytam go, tłumiąc oddech w sobie.

— Oho!—zawołał chłopek—gdzie pan marszałek! Pod ziemią, od dwóch tygodni. Już i trawa po nim zarasta!

Żal ciężki ścisnął mi serce—zdało mi się, że straciłem drugiego ojca. Chwilkę stałem jakby piorunem rażony, a wreszcie pytałem daléj:

— A gdzież panna i pani Kokorzyńska?

— Albo wiem, panie!

— Jakto nie wiesz, to gdzieżby zniknąć mogły! — zawołałem.

— Wyjechały.

— Dokąd?

— Co ja wiem, miły panie. Mnie zostawiono aby dom pilnować, póki nie zjedzie posesor.

— Mój człowieku, mów co się stało i jak, bo oszaleję—zawołałem trzęsąc chłopem jak gałęzią.

— Alboż ja mogę wiedzieć, paniczu! Jakoś w tydzień po śmierci nieboszczyka pana, zajechał tu powóz z jakimiś nieznajomymi panami. Było ich dwóch, a przyjechali jakoś z południa. Wiem tylko, że dużo było gadania we dworze. Obaj panowie coś wykładali, panna płakała. — Pod wieczór widziałem, jak pół prośbą, pół siłą, wsadzono pannę i starszą panią do powozu — i tak znikli, jak się zjawili. Panna płakała i mdlała, starsza pani modliła się, jak już mijali bramę—ot i wszystko....

— A Jan był przy tém?—zawołałem prawie obłąkany z zdumienia, przestrachu i boleści.

Jan był starym sługą pana marszałka, z którym całe prawie życie przepędził.

— Jan jak wrócił tylko z pogrzebu nieboszczyka pana, zapadł z frasunku na zdrowiu i dotąd leży.

— Gdzie?

— U księdza plebana.

Dopiero teraz wpadło mi na myśl, że przecież ksiądz Ignacy najlepiéj będzie wiedział, co się tu stało, i że zamiast rozmawiać z stróżem, powinienem był zaraz udać się do niego.

Plebania nie leżała w samym Basztokolu, ale w dość odległym sąsiednim przysiołku.

Pognałem tam przez pola jak szalony. Zastałem księdza Ignacego w domu, ale któż zdoła wystawić sobie rozpacz moję, gdy ten zaraz na wstępie przypadł do mnie z tém samém zapytaniem, które ja jemu postawić chciałem. I on był zmartwiony, zaniepokojony. Zniknięcie Helenki było dla niego dziwną zagadką.

Opowiadał, że pochowawszy marszałka, przez cały tydzień przesiedział prawie w dworku przy Helence i pannie Agnieszce, pocieszając ile możności zrozpaczone i kojąc słowami kapłańskiemi srogą ich boleść. Ale siódmego dnia musiał wyjechać koniecznie do sąsiedniéj dziekanji, gdzie przybył ksiądz biskup z Przemyśla i zwołał kongregacją.

Gdy wrócił, już było po owym tajemniczym wypadku.

Mówił, że przedtém i potém słał po mnie do Lwowa list po liście, abym przyjeżdżał—ale nadaremno.

Ja—oczywiście listów nie odebrałem.

Myślałem że mi serce pęknie od boleści i począłem rwać sobie włosy, wyrzucając sobie, że zabawiwszy niepotrzebnie we Lwowie, stałem się przyczyną własnego nieszczęścia, a może zgubiłem i najdroższą moję Helenkę. Wpadłem w formalne obłąkanie. Furja mną miotać poczęła, tak, że ksiądz Ignacy myślał już naprawdę że pomięszania zmysłów dostałem. Rozpacz, boleść, szalone rozdrażnienie stargało istotnie jeżeli nie zmysły, to zdrowie moje. Chwyciła się mnie maligna i straciłem pamięć tego co się ze mną działo....

Dziesięć dni przemajaczyłem w gorączce.

Opowiadano mi potém, że tak się rwałem i szarpałem, rzucając się w szaleństwie to na księdza Ignacego, to na starego Niemca lekarza, że mnie związać musiano... Cud to był prawdziwy, że odzyskawszy przytomność, a z nią razem pamięć tego co się stało, nie wpadłem napowrót w śmiertelną chorobę.

Ale młodość ma rogate zdrowie, i nie wygonisz przy niéj tak łatwo z ciała duszy, bo ją trzyma jak klatka żelazna. Wyzdrowiałem.

Ledwiem się na chwiejnych nogach mógł utrzymać, zaraz puściłem się do poszukiwań. Nuż tedy rzucać się na wszystkie strony, nuż zasięgać języka, rozpytywać, rozjeżdżać się, śledzić, szukać, rozbijać się po okolicy—wszystko nadaremnie. (d. c. n.)

WIĄZANKA.

Najważniejszym faktem, który przychodzi nam dziś zanotować, jest *nieszczególne udanie się Koncertu na dochód niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu*, w dniu 5 b. m. Wina tego nieudania się ciąży nie na kim innym, tylko na mieszkańcach Warszawy. Jakto, czyżbyśmy już mieli tak nisko stanąć, że młodzież i oświata mniejby nas obchodziły niż balowe rękawiczki i złocone kandelabry karnawałowych salonów? Czyż już doszliśmy do tego że więcéj cenimy dobry byt i okazałość próżniaczéj liberyi, aniżeli los naszych synów i wnuków? Czyż materye jedwabiu i atłasu, czyż egoizm i zapomnienie tak nam już zabarykadowały serca, że z uśmiechem na ustach potrafimy spoglądać na więdniejących i marniejących z niedostatku ludzi oddanych najszlachetniejszéj pracy, bo nauce, któréj blask na wszystkich nas po szczególe jasną smugą sławy spada? Jeżeli tak—Warszawo, wstyd tobie! Jeżeli nie — pokaż że nie jesteś płochą tylko *Syreną*. Kto chce ten wiele może. Chciejmy więc, a nie będziemy potrzebowali rumienić się w obec przyszłości. Że zaś tam gdzie na *serio chcemy*, zawsze prawie dopinamy celu, najlepszym tego dowodem jest świetne powiedzenie się, w Resursie Kupieckiéj, *balu na sieroty Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności* i *Teatru amatorskiego, wraz z koncertem i żywymi obrazami, na korzyść Szpitala dla dzieci*, w apartamentach konsula Angielskiego. Nie róbmyż zatem błędnych wyjątków.

Mrozy ani myślą ustąpić. Przewyższają już nawet 20 stopni (Reaumura), a dokuczając wszystkim swém lodowatém zimnem, najwięcéj dają się we znaki klasie ubogiéj, nie mającéj za co kupić drzewa i ciepłéj strawy. I tu więc niemałe przedstawia nam się pole dobrych uczynków. Pamiętajmy, iż wtenczas kiedy może w najlepsze zabawiamy się tańcem, muzyką, śpiewem, kiedy w szalonym wirze walca chłodzimy rozognione swe piersi i twarze, kiedy na jednym wieczorze zdzieramy kosztowne gazy i koronki, spijamy szampany, madery i zjadamy lukullusowskie kolacye — pamiętajmy, iż w tym samym czasie tysiące rodzin na poddaszach, w suterynach i różnych ciemnych kącikach, drży z głodu, nędzy i zimna; pamiętajmy, że są ludzie którzy z braku pracy i kilku groszy umierają; pamiętajmy, że co ich spotyka dziś, nas to samo spotkać może jutro. Rozdawanie gorącéj herbaty i drzewa po tutejszych ochronach, zaspakaja w małej tylko części potrzeby ubogich mieszkańców. Należałoby coprędzéj urządzić i noclegi na podobieństwo tych, jakie istniały zeszłéj zimy, w przedsionku ratuszowym, po niektórych ochronach i urzędach cyrkułowych, bo są nawet tacy niestety, którzy nie mają gdzie głowy swojéj przytulić.......... Śniegi w okolicach Warszawy zupełnie prawie zasypały nietylko drogi boczne ale i szosy. Pieszych, od kilku dni, nie widać wcale na tych drogach, a donoszą nam z różnych stron, iż wilki zjawiają się w owczarniach i oborach i że z zimna padają wrony, wróble i tym podobne ptastwo. Pod miastem Grójce, w tych dniach, wilki zjadły jednego człowieka z okolicznych wiosek, tak, że szukający zabłąkanego wśród śnieżnéj zamieci, znaleźli tylko jego czapkę i kij dębowy. Co więcéj, Moskiewskie wiadomości nadmieniają, że w Moskwie, z dnia 10 na 11 stycznia, w przedmieściu, na podwórzu, wilk porządnie pokąsał kobietę, i dopiero przez policyantów został zabity. — Ciekawe statystyczne dane, tyczące się zimy w kraju naszym, podał niedawno *Kuryer Warszawski* w Nr. 33, które tu w całości prawie przytaczamy:

Najdawniejsze u nas obserwacye meteorologiczne mające wartość naukową, sięgają 1779 roku. Robił je ks. Jowin Bystrzycki, w Zamku Królewskim, aż po rok 1800. Następnie przez lat trzy od 1800 — 1803, Kortum, członek b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, robił obserwacye, ale wyłącznie barometryczne. Od 1803 — 1826 bardzo dokładne obserwacye meteorologiczne, prowadził profesor Magier; wreszcie od 1826 wykonywa je tutejsze obserwatorjum Astronomiczne. Podług powyższych spostrzeżeń (z wyłączeniem 3-ch letniego przeciągu czasu od 1800 —1803, za który brak jest danych o temperaturze) wypada że od r. 1779 po dziś dzień, temperatura 20 stopni R. zimna, lub niższa od niej, zniżyła się w 27 zimach 52 razy; mianowicie w zimach r. 1782, 1785, 1789, 1795, 1799, 1808, 1809, 1814, 1816 1818, 1820, 1821, 1823, 1828, 1829, 1830, 1836, 1840, 1841, 1845, 1849, 1850, 1855, 1861, 1865, 1870 i 1871. Największy mróz w ciągu powyższych zim dosięgnął $26^1/_2$ stopni R. Przytrafił się on dwukrotnie, mianowicie d. 8 lutego 1799 r. i 11 lutego 1855 r. Do silniejszych zim należą z 1788 na 1789. Wisła stanąwszy pod Warszawą d. 6 grudnia 1788, puściła dopiero 6 kwietnia 1789 r. czyli stała dni 122. Największy mróz jaki obserwowano na kuli ziemskiéj wynosił $46^1/_2$ st. R., obserwowano go na dokładnym, spirytusowym termometrze w Jakucku 1829 r.

Czy widzieliście kiedy, łaskawi czytelnicy, zjawisko, znane pod nazwą *Fata morgana*? Miało ono miejsce u nas niedawno w Piotrkowskiém. Dnia 2 b. m. i roku mieszkańcy wsi Golesze przypatrywali się blisko 2 godziny walnej bitwie, która się toczyła na ich polach, przez jakieś fantastyczne wojska. Rzecz tak się miała: Nauczyciel wiejski gminy Golesze, w dniu wymienionym, około godziny 3-éj po południu jechał do Wolborza, odległego o 4 wiorsty. Wyjeżdżając ze wsi, spostrzega ogromną moc wojska zalegającego pole pod blizkim lasem, w odległości jak okiem zasięgnąć może. Wojsko, nic dziwnego, pomyślał sobie, ale co ono tu robi w takich masach! Wpatruje się lepiéj, aż to wojsko toczy z sobą bój zażarty. Strach go przejął wielki! Wpada więc do pierwszéj chałupy i opowiada widzenie. Cały dom wybiega i wszyscy toż samo widzą. Za chwilę wieś była zaalarmowana, wszystko co żyło wyległo. I widzi każdy na swoje własne oczy, jak dwa nieprzyjacielskie wojska śmiertelny bój toczą. Oddziały piechoty i konnicy w odstępach różnych tworzą zygzakowate, daleko sięgające linje bojowe. Wyróżniają się chorągiewki i czapki ułańskie, nawet kształty mundurów, ale koloru różnicy nie ma, twarze też niewyraźne, wszystko jakoś zamglone. Tu szturmuje piechota, tam ściera się jazda, tu harcują pojedyńczy jeźdcy, uderzają na siebie kolumny, mięszają się z sobą, to znów odskakują lub ścigają się. Tam znowu oddziały kawaleryi stoją naprzeciw siebie nieruchome, przed każdym oddziałem jeźdzIec z pałaszem w ręku, również nieruchomy. Wtem pałasz się wznosi w górę, rumak w podskokach sadzi naprzód, a za nim cały oddział. Toż samo dzieje się na przeciwnéj stronie. Z pod kopyt końskich śnieg pryskający zaćmiewa niebo. Mięsza się to wszystko chaotycznie w jednę, czarną, poruszającą się masę, która niby podminowana rozpryskuje się na wszystkie strony, i tylko stosy sterczą na ziemi—to ludzie i konie. Są chwile w których bitwa tak się wyraźnie rysuje, że widać spadających z koni kawalerzystów, lub obalających się piechurów, albo też biegające samopas konie. Wtenczas z pośród widzów wydobywały się krzyki przerażenia lub współczucia, a kobiety i dzieci przelęknione z płaczem do domu uciekały. Wszystko to przedstawiało się w bardzo blizkiéj odległości. Postacie ludzi i koni, mimo swojéj wyrazistości, niby mgłą okryte być się zdawały, chociaż niebo było pogodne. Znalazło się nawet dwóch zuchwalszych widzów, którzy pobiegli na miejsce zjawiska. Widziano jak przerzynali się przez kolumny wojsk, ale oni sami nic nie widzieli; po powrocie znów to samo przedstawiało się ich oczom. To wszystko trwało aż do ostatniego zniknięcia promieni zachodzącego słońca. W miarę jak słońce się chowało, wojska się wznosiły, głowy ich górowały nad lasem, aż wreszcie wszystko znikło w przestrzeniach. Wiarogodność tego zdarzenia zaręcza *ksiądz Justyn Gryglewski.*— Przyczyną powyższego zjawiska, znanego powszechnie pod imieniem *Fata morgana, mamidła optycznego, mirażu*, jest łamanie się i odbicie się światła od oddalonych przedmiotów idącego, w pośrodku warstw powietrza rozmaicie ogrzanych, a tém samém i rozmaitą gęstość mających. Zjawiska te powstają na wielkich równinach, przy bardzo spokojnym stanie powietrza. Widziadło, któreśmy tu dopiero co opisali, jest zapewne nie czém inném, jak tylko odbiciem toczącéj się w tym dniu bitwy między Francuzami i Niemcami, nad granicą Szwajcaryi.— Takie obrazy powietrzne zdarzają się najczęściéj w pustyniach

Egiptu i we Włoszech, na brzegach przylądku Messeńskiego. Mamy ich kilka przykładów. I tak, gdy wojsko francuzkie pod dowództwem generała Napoleona Bonapartego, w wyższym Egipcie, po wzięciu Aleksandryi, ciągnęło do Kairu przez piaszczyste równiny, spieczone słońcem, i nieznośnego doznawało pragnienia, nagle, w odległości pół mili, ukazało się ogromne jezioro. Była to radość niezrównana, ale w również dotkliwą zamieniła się boleść, gdy stanąwszy na pożądaném miejscu, nic więcéj oprócz piasku gorącego nie znaleźli. Owo jezioro, było tylko złudzeniem.— Przy cieśnienie Messeńskiéj, oddzielającéj Sycyliją od półwyspu Włoskiego, ze wzgórza miasta Regio, postrzegać się czasami daje następujące widowisko: Morze oblewające Sycyliją od strony wyspy, wzdyma się w rozległości dwóch przeszło mil, a na jego zwierciadle postrzegać się dają z początku ciemnawe słupy czyli kolumny jednakowéj wielkości i jednakowo oświetlone. W mgnieniu oka potém wszystkie zniżają się do połowy, a następnie tworzy się nad nimi gzyms i robi się z tego tysiące, doskonale do siebie podobnych, zamków. Podróżnicy i marynarze czesto bywają świadkami na morzu takich optycznych mamideł, przypatrując się nieraz w zdumieniu nigdy niewidzianym miastom, okolicom, wyspom, gmachom i t. p. które za zbliżeniem się do nich nikną im zaraz z przed oczu. Opisują je: *Henryk Swinburn*, *Brydonne*, *Szmit*, *Sayve*, *Scoresby*, i w. i. —

Przejdźmy teraz do czego innego.

Wyszedł II-gi zeszyt *Muzeum Sztuki Europejskiéj*, zawierający w sobie w pięknem stalorytowém odbiciu, Apoteozę zwycięztwa, Palaczy tytoniu, Groźbę Samsona, oraz portret w drzeworycie. Tekst podaje dalszy ciąg życiorysu Rafaela.

W ostatnich dniach stycznia opuścił prasę I-szy poszyt *Gramatyki języka polskiego*, praktyczno - teorotycznej, ułożonéj według metody genetycznéj, stósownie do progamatu obowiązującego dla szkół Królestwa Polskiego, przez Florjanna Czepielińskiego. Cena całego dzieła kop. 30.

Zygmunt Komarnicki, tłumacz kroniki Ditmara, przygotował do druku przekład *Kroniki Marcina Galla*. Tłumaczenie to objaśnioném jest przypisami i poględem krytycznym na samą „Kronikę". Pan Komarnicki posiada także w swéj tece: *Przekład Kroniki Witykinda* i *Dzieje Katedry we Włocławku*, która jest jednym z najdawniejszych i najbogatszych u nas pomników sztuki.

We Lwowie zapowiadają kompletne wydanie *wszystkich powieści J. I. Kraszewskiego*. Wydawnictwo „Biblioteki powieści i romansów" zawarło już układ z p. Kraszewskim, który obowiązuje się oddać swe powieści przejrzane i uporządkowane rzeczonemu wydawnictwu. W przeciągu roku ma wyjść tomów 12. Najprzód wyjdzie podobno powieść, *Dwa Światy*.

Komisya Konkursowa w Krakowie, wyznaczona do oceny nadesłanych jéj utworów dramatycznych, przyznała pierwszą nagrodę Józefowi Narzymskiemu, za dramat w 4 aktach p. t. *Epidemia*; drugą M. Bałuckiemu, za komedją *Pracowici pniacy*, a Władysława Sabowskiego (Wołodego Skiby) komedją *Pół miljona*, uznano godną bezzwłocznego przedstawienia na scenie.

Znany poeta Teofil Lenartowicz, zajęty jest obecnie pracą około modelu do odlewu w bronzie drzwi do grobowca matki Augusta Cieszkowskiego, w kościele S-ta Croce. Świeżo zaś wykończył głowę S. Jana.

Dla zmarłego niedawno znakomitego naszego historyka, ś. p. Juliana Bartoszewicza, ma stanąć, w jednym z kościołów Warszawskich, pomnik, którego wykonaniem zajmuje się artysta-rzeźbiarz p. Andrzéj Pruszyński.



Widok Londynu. (Str. 51).

W Toruniu u Rakowicza wyszło dziełko p. t. *O Emancypacyi kobiet*. Jest to przekład 14 listów znanéj niemieckiéj autorki Fanny Lewald.— Przegląd Krakowski wydrukował *Przygody Wacława Rzewuskiego w Arabii*, opisane przez Siemieńskiego.

P. Budiłowicz wypracował w języku rosyjskim: *Przegląd historyi literatury polskiéj*.

Dnia 2 lutego zostało zawiązane w Warszawie: *Towarzystwo Muzyczne Warszawskie*, Prezesem którego został JW. Sergiusz *Muchanow*, Vice-Prezesem p. *Antoni Nagórny*, Dyrektorem Muzyki p. *Aleksander Zarzycki*.

Dnia 10 lutego upłynęło lat 115, jak Szpital Dzieciątka Jezus został zbudowany. W tymże samym dniu przypadła rocznica śmierci zasłużonego założyciela tego zakładu Ks. Gabryela Baudouina, zmarłego w roku 1768.

Na scenie teatru Rozmaitości przedstawiano niedawno dwie nowości: 1) Komedją G. Sanda, p. t. *Zamężcie Wiktoryny* i operetkę *Antreprener*, któréj libretto tłumaczył z niemieckiego (Schnejdera) p. L. Matuszyński. Autorem téj operetki jest Mozart.

W Łomży amatorowie i amatorki urządzili *teatr* na dochód miejscowéj *ochronki*. W Piotrkowie, gdzie wyszedł w tym roku pierwszy rocznik czyli kalendarz Petrokowski na rok 1871, także przygotowuje się teatr amatorski, w połączeniu z muzykalną zabawą, na korzyść biednych uczniów tamtejszego gimnazium. Więcéj podobnych przykładów, a mniéj takich jaki miał miejsce w obecnym karnawale *w Kaliszu*, gdzie jakiś marnotrawca, nie wiedzący co z pieniędzmi robić, zakupił odrazu wszystkie loże dla siebie, na jednéj maskaradzie, myśląc zapewne, że wielkiego dokonał czynu. Dawniéj można było przynajmniéj *poznać pana po cholewach*— dziś....

Wystawa nasion zbożowych, pastewnych i leśnych, połączona z nagrodami, odbyła się we Lwowie w początkach bieżącego miesiąca.

Wystawa masła i sera ma być urządzona w Krakowie w dniu 27 i 28 bieżącego miesiąca.

Aleksander Sierow, znany rosyjski kompozytor, zmarły w tych dniach w Petersburgu, pochowany został w Cerkwi Aleksandra Newskiego, obok Glinki i Dragomyżskiego. W r. 1863 wystawił on pierwszą swoję operę *Judytę*, a następnie w 1865 r. *Rogniedę*, których treść i muzykę czerpał z narodowego ducha. Sierow umarł nagle na chorobę sercową, mając 49 lat wieku.

Józef baron Eötvös, znakomity Węgierski uczony, przytem sławny mąż stanu, minister oświaty i wyznań, zmarł w nocy z 2-go na 3-ci bieżącego miesiąca. Mając zaledwie lat 17 przełożył na język węgierski udramatyzowany obraz wieków średnich, *Götz von Birlichingen*, Goethego, i napisał dwie komedje: *Kritikusos* i *Hazasulok* i tragedyą *Boszu*. Prócz tego napisał jeszcze: *O reformie więzień*, *O emancypacyi żydów*, kilka powieści, z których jedna *Notaryusz miejski* przetłumaczoną została na język polski, — romans historyczny: *Węgry w r. 1514*, oraz zbiór pomniejszych utworów belletrystycznych. Jedną z najcelniejszych prac tego autora jest, *O wpływie wyobrażeń panujących w XIX stuleciu* — i dwie broszury; 1) *Rękojmie potęgi i jedności Austryi*, 2) *Odrębne stanowisko Węgier w obec jedności Niemiec*.

△

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 4 (16) Февраля 1871 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.